



Grzegorz Łojewski

Witam Czytelników Informatora!

Choruję od urodzenia na postępujący zanik mięśni typ Duchenne'a. Podopiecznym Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci jestem od maja 2001 r.

W dniach 30 czerwca – 14 lipca 2007 r. uczestniczyłem w ważnym i długo oczekiwany przeze mnie wydarzeniu. Otóż pierwszy raz od 6 lat dane mi było wraz z Rodzicami spędzić udane wakacje nad morzem.

Wszystko zaczęło się pod koniec kwietnia, kiedy mój Tata zrobił dla mnie przenośne urządzenie do wspomaganie oddychania. Wtedy powiedziałem mojej wspaniałej pielęgniarce, Kasi Piasecznej, że w tym roku spełni się chyba moje marzenie o wyjeździe nad morze. Kasia stwierdziła, że na pewno się spełni. Po czym wybrała ośrodek „Albatros” w Krynicy Morskiej i załatwiła dla nas najlepszy pokój w tym ośrodku. Poprosiła także Prezesa Fundacji WHD o wsparcie materialne mojego wyjazdu. Pan Prezes wyraził zgodę i w ten sposób mogłem po sześciu długich latach zobaczyć Bałtyk.

W tym miejscu chciałbym bardzo podziękować Kasi, doktorowi Arturowi oraz całemu hospicjum, bo bez nich z moich marzeń nic by nie wyszło.



Z rodzicami na molo

# Zobaczyć Bałtyk

Przed samym wyjazdem Kasia przywozła dla mnie zapasowy sprzęt i niezbędne lekarstwa. Poza tym na czas turnusu zostałem przeniesiony pod opiekę Hospicjum w Gdańsku. Na szczęście nie musiałem korzystać z tej opieki.



Z mamą przed ośrodkiem wypoczynkowym

Wyruszyliśmy więc i mieliśmy wrażenie, że lecimy na księżyc, jednak okazało się, że wszystko poszło dobrze. W drodze nad morze dwie godziny spędziliśmy stojąc w „korkach”. Rodzice trochę narzekali na to, a ja cieszyłem się, że jadę na wakacje i myślałem, że trzeba się pomęczyć. Na miejscu w Krynicy Morskiej przywitała nas burza. Jak się później okazało była ona zapowiedzią brzydkiej pogody prawie na cały turnus (były dwa dni pogody plażowej). Tak naprawdę jednak nie przyjechałem nad morze, aby się opalać, lecz żeby wdychać morską powietrze i przez to zimą mniej chorować. Zaraz po przyjeździe postanowiłem „przywitać się” z morzem. Rodzice zaprowadzili mnie po piasku do samego brzegu tak, że fale dosięgały kół wózka. Morze było szare i spokojne, a ja siedziałem uśmiechnięty i delektowałem się jego zapachem. Mimo brzydkiej pogody każdy dzień spędzaliśmy na spacerach. Miejsc do wycieczek było dużo. Z jednej strony morze, a z drugiej

Zalew Wiślany wraz z portem, w którym odbywały się koncerty znanych artystów. Wokół było zarówno miasteczko, jak piękny las pełen ptaków. Teren w Krynicy Morskiej jest pagórkowaty, więc trochę trzeba było popracować przy pokonywaniu wzniesień. Podczas spacerów często spotykaliśmy dziki z młodymi, które domagały się jedzenia od turystów. Raz nawet zniszczyły



W porcie

komuś posłanie na plaży.

Zakwaterowano nas w przestronnym pokoju, jedzenie było dobre. Ośrodek znajdował się blisko morza, do którego był całkiem niezły dojazd dla wózka inwalidzkiego. Najbardziej podczas wczasów martwiłem się, aby nie doszło do awarii asystora kaszlu lub sprzętu wspomagającego moje oddychanie oraz abym się nie zakrztusił. Na szczęście nic groźnego nie wydarzyło się.

Pierwszego dnia spotkaliśmy sąsiadów z mojego miasta, którzy też przyjechali na wczasy. W niedzielę udaliśmy się do małego i uroczego kościoła pw. św. Piotra i św. Franciszka. Msza odprawiana była na zewnątrz na ołtarzu polowym. W tym kościele modliliśmy się kilka razy. Przed wyjazdem dziękowaliśmy Bogu za udane i pomyślnie zakończone wakacje oraz prosiliśmy o szczęśliwy powrót do domu. Wiem, że podczas wczasów Bóg czuwał nad nami, bo bez Jego opieki też ten wyjazd mógłby się nie udać.

9 lipca pojechaliśmy samochodem na wycieczkę do odległej o 25 km Stegny. Wtedy przebywała tam grupa wsparcia w żalobie dla dzieci z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci. Dzieci były pod opieką Małgosi Murawskiej, Doroty Licau i o. Benedykta, kapelana WHD. Przyznam, że jechałem tam głównie po to, aby spotkać się z księdzem Benkiem, który postanowił opuścić Hospicjum i zająć się innymi obowiązkami. Musiałem się z nim pożegnać, ponieważ wspierał mnie w trudnych chwilach i w ogóle drugiego takiego kapłana jeszcze nie spotkałem. Warto było go poznać. Gdy tam byliśmy, Małgosia przyprowadziła część dzieci, aby się przedstawiły i przywitały ze mną, pacjentem Hospicjum. Dzieci były bardzo zaskoczone

i zdziwione, podobnie zresztą jak ja, gdyż nie zapamiętałem, jak które dziecko ma na imię.

W końcu nadszedł czas powrotu do domu. Wybrałem inną trasę powrotu, aby uniknąć dużego ruchu, przy okazji poznać nieznaną przeze mnie część Polski. Wracaliśmy przez Malbork, Iławę, Lubawę, Działdowo, Mławę, Ciechanów i Nasielsk. W Malborku widziałem zamek krzyżacki, mój Tata zrobił nawet kilka zdjęć przez okno samochodu. Jechaliśmy przez piękne lasy, wzgórza oraz zacienione i kręte drogi Pojezierza Mazurskiego. W Działdowie wjechaliśmy na Mazowsze i krajobraz się zmienił, nie było tylko jezior i wzgórz, ale nadal było pięknie. Na trasie znalazło się także wiele spokojnych i nieznanych, ale jakże pięknych miast i miasteczek.

Pod koniec podróży mieliśmy awarię samochodu i myślałem, że będziemy unieruchomieni w polu. Na szczęście powoli dojechaliśmy dzięki pomocy św. Antoniego, do którego się pomodliłem w krytycznym momencie! Obrazek świętego otrzymałem od doktora Piotra z WHD.

Na zakończenie chciałbym podziękować Bogu oraz moim opiekunom i przyjaciółom z Warszawskiego Hospicjum dla Dzieci za pomoc w wyjeździe nad morze.

Z poważaniem  
Grzegorz Łojewski

